„**UZDRAWIACZ”, marzec 2001 r.**

OPOWIEŚCI PRABABCI

W pobliżu miejscowości, w której się urodziłam, rozciąga się duża, porośnięta krzakami góra. Stare podania donoszą, że podobno kiedyś, bardzo dawno temu, na tej górze, było otoczone fosą miasto. Góra ta znajduje się między wsiami Justynówką, a Majdanem Górnym, w okolicy Tomaszowa Lub., natomiast miasto to nazywało się Medno. Ludzie mówili, że w czasie pierwszej wojny światowej, Niemcy mieli je zaznaczone na mapach. Gród ten został spalony przez nieprzyjaciela, który nie mogąc zdobyć go siłą, uciekł się do podstępu. Gołębiowi przymocowano zapalony kawałek drewna; usiadł on na drewnianym budynku; wybuchł pożar i od tego całe miasto spłonęło. Obecnie góra ta nie jest uprawiana rolniczo, a jedynie w Święta Wielkanocne zbiera się tam młodzież, bo należy to jakby do tradycji.

50 lat temu, gdy byłam małą dziewczynką, żyła jeszcze moja prababcia; wówczas miała ponad 80 lat. Sędziwą staruszkę często odwiedzało, szczególnie w długie zimowe wieczory, liczne grono jej wnuków i prawnuków. Prababcia znała dużo bajek; nas najbardziej interesowały te „prawdziwe”, dotyczące góry.

My dzieci, siadałyśmy wokoło niej, a ona snuła opowieści, o których często słyszała w czasach swojej młodości, że po tej górze chodzili różni eleganccy panowie, którzy wychodzili ze znajdujących się w niej lochów. Podobno jeszcze niedawno odkrywano głębokie, podziemne korytarze, które teraz są już pozasypywane. Ludzie opowiadali, że ci eleganccy panowie, zamiast butów, mieli kopytka, i że były to diabły przybierające ludzkie postacie. Wystarczyło się jednak przeżegnać, a zjawy te znikały. Ci eleganccy panowie pojawiali się chłopom pracującym na polu w pobliżu góry, proponowali im spacery po podziemiach, a jeśli dali się oni na nie

namówić, to raczej już do domu nie wracali; przepadali. Nie wiadomo, co się z nimi stawało. jeśli zdarzyło się, że wrócili, to mieli tak poprzestawiane w pamięci, że w żaden sposób nie potrafili wskazać wejścia do tych podziemi, ani też opowiedzieć o tym, co widzieli. Nie wiedzieli też, czy zawarli pakt z diabłami. A może było tak, że ci chłopi, co zawarli pakt, to wracali, a ci, co nie chcieli, to przepadali? Nie wiadomo. Zawsze pozostanie pytanie, dlaczego chłopi wchodzili w jakiekolwiek układy z diabłami, skoro mogli przepędzić je znakiem krzyża. Prababcia, mimo swej - w naszej ocenie - wielkiej wiedzy o górze, nie potrafiła wyjaśnić wszystkich wątpliwości.

Po takich „bajkach" często nie mogłam zasnąć w nocy i do dzisiejszego dnia pamiętam te opowieści. Poza tym opowiadała też, że gdy chłopi wracali z miasta - z jarmarków, a odbywały się one co tydzień, to nierzadko po drodze zabierali jakichś zmęczonych, samotnych piechurów. Czasami na wóz brali leżące na gościńcu zwierzęta: cielaki, świniaki. I wtedy to wszystko przemieniało się w siłę nieczystą; konie parskały, stawały dęba, nie chciały ciągnąć.

Również, niedaleko mojej miejscowości, znajduje się miejsce polodowcowe, gdzie jest dużo olbrzymich głazów. Prababcia mówiła nam, że tam wieczorami straszy, że pokazują się dusze błądzące jako świetliki. Widać też było różne postacie, słychać płacz dzieci. Kiedyś z bratem wybrałam się w to miejsce po wrzos, gdyż potrzebny był do kąpieli małego kuzyna. Z duszą na ramieniu narwaliśmy go wśród tych głazów i szybko zaczęliśmy iść do domu. W pewnym momencie odwróciłam się, zobaczyłam za nami obłok kurzu, który szybko posuwał się w naszym kierunku, i jakby nas dopędzał. Zaczęliśmy biec ile sił w nogach, Aby jak najszybciej oddalić się stamtąd. Gdy dotarliśmy do szosy, to okazało się, że po tej polnej drodze jechała furmanka, i ona to ciągnęła za sobą ten obłok. Do tej pory widzę ten posuwający się kurz, ale co myśmy oboje z bratem wtedy przeżyli, trudno uwierzyć. A wszystko to dzięki naszej prababci, która szpikowała nas takimi opowieściami nie z tej ziemi.

Chłopcy, tzn. moi kuzyni, tym się pasjonowali, ja natomiast bardzo to przeżywałam. I teraz po latach, gdy jestem na tej górze, oglądam się wokoło, bo czuję dziwny lęk, czy akurat nie pokaże się jakiś nieznajomy z dawnych opowieści. Dziwne, z upływem czasu, często wracam myślami do lat dziecięcych, młodzieńczych, a lata wieku średniego nie mają takiego znaczenia.

Regina

Pacjentka ta szukała u mnie pomocy, gdyż była chora. Cierpiała na niedomykalność zastawki serca, nerwicę, drżenia ciała. O opowieściach prababci dowiedziałem się dopiero po kilku miesiącach; te obrazy pojawiły się nagle w czasie jednego z seansów. Być może nie mówiła mi o tych bajkach, gdyż nie uważała tego za sensowne.

Dla istoty mojej terapii ważne jest to, aby pacjenta od pamięci takich przeżyć uwolnić, gdyż są one chorobotwórcze. To, czy są one uświadamiane, czy głęboko skryte, jest już mniej ważne. W swoim obrazie pacjentka zobaczyła, że jest na tej górze, widzi bardzo przystojnych, przyjemnych panów, ubranych w smokingi, z kopytkami. Zapraszają ją do zwiedzania lochów. Ona stara się uciekać, panicznie się boi, brakuje jej tchu. leżąc u mnie, fizycznie odczuwa, jak przez jej całe ciało przechodzą ciarki, dreszcze, bolą ją nogi.

W czasie następnego seansu zgłasza mi, że przez ostatni tydzień, miała bóle w nogach. coś z niej w ten sposób wychodziło. Czy te bóle miały tylko związek z opowieściami prababci? A może również i z innymi przeżyciami, które też odreagowywałem? Słyszę od pacjentki, że niedługo po śmierci prababci, miewała bóle nóg. Matka do lekarza z nią nie chodziła, tylko sama czymś jej nogi nacierała. Gdy obecnie lekarz, lecząc jej serce, pytał, czy w dzieciństwie nie miała bólów reumatycznych, zaprzeczyła, gdyż o nich zapomniała.

Jaki związek mogą mieć bajki prababci, chore serce i bolące nogi? Otóż, w pacjentce, na nieuświadamianym poziomie, nieustannie, w noc i w dzień, jak katarynka, funkcjonował obraz: uciekaj przed diabłami. Wówczas szedł odpowiedni impuls do nóg, które przez to napinały się jak do ucieczki. Odpowiednio, impuls do serca polecał: pompuj tyle krwi, aby nogi mogły uciec. A tu nogi nie uciekają, serce pracuje ponad miarę. Stąd bóle nóg, problemy z sercem. Proszę sobie wyobrazić, że ta katarynka grała w pacjentce przez 50 lat, powodując niecelową mobilizację organizmu, niepotrzebnie zużywając energię życiową, degenerując stawy, serce i inne narządy. Stąd oczywisty wniosek: im więcej uwolnimy z siebie takich chorobotwórczych zapisów, tym będziemy zdrowsi. No i my dorośli, nie straszmy dzieci.

STANISŁAW KWASIK

Załącznik nr 1

Czytając ten artykuł powróciły moje lęki i strach, który przeżyłam będąc dwu- lub trzyletnim dzieckiem. Mama zostawiła mnie u jakiś obcych ludzi, którzy mieli się mną zaopiekować. Nie pamiętam ile czasu u nich spędziłam. Dla mnie wydawało się to wiecznością. Pamiętam tylko, że był to bardzo duży, stary, poniemiecki dom na wsi, w którym mnie zamknięto i zostawiono samą. Ludzie, którzy mieli zająć się mną, zaprowadzili mnie do jakiegoś pokoju, w którym kazali mi spać, mimo że było widno. Straszyli mnie pukaniem w drzwi i ściany i tym, że przyjdzie po mnie wiedźma, czy Baba Jaga, jak nie zasnę, ruszali klamką od drzwi. Strach i lęk spowodowały, że ledwo nie udusiłam się pod przykryciem, tak się bałam. Prawie nie oddychałam, bo tak zakrywałam się kołdrą. Byłam cała gorąca. Myślałam, że nikt mnie nie zabierze z tego przeklętego, nawiedzonego domu (może też mnie taką informacją uraczyli), że już nikt mnie nie znajdzie. Nie pamiętam, kiedy mnie wreszcie matka zabrała z tego domu. Wiem, że długo opowiadałam o tym, że mnie tam straszono. Do tej pory nie potrafię pojąć, po co moja matka tam mnie zostawiła. Myślę, że coś „kombinowała" za plecami dziadków. Przecież mogła mnie zostawić z nimi –mieszkali w tej samej wsi, a nie ciągać mnie po obcych, nieznanych mi ludziach.

Ja nigdy nie zostawiłam swoich dzieci u kogoś obcego. Chodziły do popołudniowego przedszkola z własnego wyboru, bo im się tam podobało i same chciały. Nie mogły doczekać się, kiedy już będą w nim, bo takie ciekawe rzeczy się tam działy. Syn nawet jak miał gorączkę to chciał iść i poszedł (spał w domku dla lalek) i był szczęśliwy, że pani Wandzia pozwoliłam mu tam zostać. Ja przedszkole pamiętam, jako coś strasznego. Mama na siłę w nim mnie „ulokowała", rano zrywała mnie ze snu i przed godziną 6 prowadziła spory kawałek do niego. Jeździła do pracy autobusem, przedszkole było obok przystanku autobusowego, więc po drodze „pakowała" mnie w tym przedszkolu, mimo że nie chciałam do niego chodzić. Miałam dziadków, którzy mogli się mną zająć, mieszkali na wsi. Moja matka była jednak uparta, miałam

chodzić tam i już. Więc nie raz uciekałam z tego przedszkola i przychodziłam do domu mojego kolegi, który mieszkał obok mnie i nie musiał chodzić do przedszkola. Potem wracałam do tego znienawidzonego przedszkola i dostawałam lanie w umywalni na gołą pupę. Teraz za takie traktowanie dziecka nauczycielka miałaby sprawę karną. Kiedyś było normą, że dzieci były bite w przedszkolach, szkołach. Ja miałam ciągle ropiejące i poobrywane uszy, bo tak mnie wredna pani Jola lubiła za nie targać. Nosiła kapcie laczki na koturnie i potrafiła tym kapciem lać po plecach lub kopać jak siedziało się po turecku na dywanie. Przedszkole wspominam jako koszmar, omijałam je szerokim łukiem nawet jak już chodziłam do szkoły. Teraz nie ma tam od lat niczego, obiekt popadł w ruinę i straszy swoim wyglądem razem z naszym dworcem kolejowym zaniedbanym od lat.

Muszę stwierdzić, że tego typu „metody wychowawcze" i dziwne opowieści o różnych diabłach, Baba Jagach, Bobokach, stukaniach w drzwi i ściany, straszeniu dzieci, że ich ktoś porwie, czy beznadziejną „czarną Wołgą", czyhającą, żeby nas do niej wciągnąć i uprowadzić - zrobiły swoje. Uważam, że nie ma osoby, która nie była karmiona w dzieciństwie takiego rodzaju „sensacjami " i różnymi psychicznymi bajkami z gatunku horroru z działu: „Poskramianie dzieci w celu wymuszenia u nich posłuszeństwa i panowania nad nimi". Tego rodzaju lęki i fobie odbijają się na życiu szerokim echem w postaci różnych dziwnych chronicznych chorób, nieuzasadnionych lęków, smutków, które dopadają nas nawet w piękny ,promienny dzień, niechęci do niektórych potraw lub lęku przed ich spożywaniem, np. jedzeniem jabłka, którym można się zadławić na śmierć lub innych; każdy może sobie przypomnieć swoje „zakazane" posiłki, których po prostu nie jada. Wszystko to tylko nasze ograniczenia, które nabyliśmy dzięki różnym niekorzystnym czynnikom towarzyszącym naszemu wychowaniu, dorastaniu. Nie jest łatwo uświadomić sobie, że to one są odpowiedzialne za to, że nie jesteśmy teraz tacy jacy byśmy chcieli być w naszych marzeniach.

Jeszcze trudniej stawić im w pojedynkę czoło i odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Sprawić, żeby odeszły tak jak nasze niezbyt miło wspominane obrazki z dzieciństwa. I tutaj rola i doświadczenie pana Stanisława Kwasika jest nieoceniona w uwalnianiu takich chorobotwórczych przeżyć, które blokują naszą drogę do szczęścia, zdrowia, duchowości. Warto spróbować i dać sobie pomóc. Zaufać i otworzyć swoje rany, które nie mogą się zabliźnić i ciągle ropieją. Poprosić Pana Stanisława o uzdrowienie, nie bać się mówić o wszystkich rzeczach, które mogą wydawać się na pierwszy rzut oka mało istotne, nieważne, a w konsekwencji być początkiem czegoś strasznego, co może narastać i stać się zalążkiem wybuchu bomby z opóźnionym zapłonem. Ciągle pracuję nad sobą i staram oczyszczać się z wszelkiego „brudu", czuję pomoc i zrozumienie ze strony Pana Stanisława i to dodaje mi sił, by drążyć, by szukać swojej drogi do szczęścia, zdrowia, samorozwoju, duchowości. Mam nadzieję, że podzielenie się moimi „demonami przeszłości" jeszcze bardziej odblokuje mnie na lepsze życie, a wszystkim, którzy uświadomili sobie po przeczytaniu tego, że też mają swoje „niezidentyfikowane obiekty zatruwające" do znalezienia odwagi i razem z fachową pomocą Pana Stanisława pozbycia się ich i otworzenia się na lepszą stronę świadomego życia.

Sylwia